



Tekst Paweł Owiński

Zdjęcia autor  
i East News

# OBLICZA EUROPY

**Propozycje były dwie: Grecja połączona z plażowaniem, czyli coś dla pań, albo bardziej hardcorowa Albania i Serbia.**

**A**lbania sprawiała wrażenie kraju bardziej egzotycznego, co miało w końcowym rozrachunku decydujące znaczenie. Surfowanie w internecie przyniosło mizerne efekty, znaleźliśmy co prawda kilka opisów, ale nie były one zbyt aktualne i raczej dla nas mało przydatne. Co ciekawe, we wszystkich było sporo sprzeczności. A to ktoś pisze, że wizy są wymagane, to znów ktoś inny, że wiz co prawda nie ma, ale jest w opcji opłata wjazdowa w wysokości 10 dol. lub 10 euro. Nie zgłębialiśmy dalej tematu i zapatrzeni jedynie w niemiecką mapę z serii „Reise know-how” ([www.reise-know-how.de](http://www.reise-know-how.de)) 19 sierpnia na Chyżnem spotykamy się w dziewięć motocykli – osiem Africa Twin i jedna Honda Varadero. Przez Bańską Bystrzycę kierujemy się na Budapeszt.

## Kierunek na Węgry

Droga sprawnie umyka pod kołami zapakowanych w kilku przypadkach do granic możliwości motocykli. Przejazd przez stolicę Węgier, podobnie jak w poprzednich moich wyjazdach, owocuje pierwszymi problemami nawigacyjnymi. Żle odczytuję oznakowanie, co w efekcie zmusza nas do przejechania dokładnie przez centrum. Po niemal dwóch godzinach nierównej walki z katamaranami, tramwajami i pieszymi wyjeżdżamy na drogę E-73, która przed zmrokiem doprowadza nas do miejsca pierwszego noclegu koło Mohacza. Kolejny dzień to szybki przelot przez Chorwację na Osijek i wjazd do Bośni i Hercegowiny. Tu zaczynają się winkle i gorsze drogi. Andrzej na jednym z zakrętów posypanym (w środku lata!) piaskiem lepiej niż w Polsce górskie szlaki zimą zalicza pierwszą niegroźną, niemal parkingową głąbę. Straty

## UCZESTNICY

**Marcin „Kajetan”**  
z Jołą Africa Twin  
RD-07 (Sosnowiec).

**Damian z Asią**  
Africa Twin RD-07  
(Zabrze).

**Krzysztof z Olą** Africa  
Twin RD-03 (Opole).

**Andrzej z Emilią**  
Africa Twin RD-03  
(Gdynia).

**Jarek** Africa Twin  
RD-04 (Garwolin).

**Rafał zwany Kotem**  
Africa Twin RD-04  
(Pszczyna).

**Sławek vel Pindor**  
Africa Twin RD-07  
(Warszawa).

**Ja z synem Łukaszem** Africa Twin  
RD-07 (Lusko).

**Adam Dubielmotors**  
Varadero (Biecz).

- popękane lustro i otarty łokieć plecaczka - Emili. Po budapeszteńskim doświadczeniu postanawiamy bokiem ominąć Sarajewo i na kolejny nocleg stajemy przed Mostarem. Jest jezioro, miejsce na namiot, toalety w stylu Velikanka (to ta mamucia skocznia w Planicy) oraz nocne harce piżamowo-dyskotekowe w pobliskiej tawernie. Sławek, zwany „Pindorem”, podobnie jak na poprzednich naszych wyjazdach staje na wysokości zadania i robi za kaowca (prawie jak Tym w „Rejsie”). Rano składamy namioty i już około godz. 9 jesteśmy w historycznym Mostarze. Przewodniki nie kłamią, miasto przesiąknięte jest orientem i ma faktycznie dwa odmiennie oblicza. Troszkę żałujemy, że nie udało się nam zobaczyć skoku ze słynnego mostu na Neretwie, ale kwotę 50 euro, jaką trzeba zebrać, aby członek klubu „mostarskiego skakania” zdecydował się go oddać, uznajemy za zbyt wygórowaną. Z Mostaru ruszamy w kierunku Chorwacji, zahaczając po drodze o Medjugorje i mało znane wodospady w Kravicach. Przekraczamy kolejną granicę, mijamy w ekspresowym tempie Dubrownik i wieczorem meldujemy się w Molunacie, gdzie zamiast w namiot-

tach śpimy w wynajętych pokojach z łazienkami i aneksem kuchennym po 10 euro od osoby. Przy kolacji zapada decyzja o ogłoszeniu dwudniowej przerwy, która pozwoli nam odpocząć przed Albanią, a tym spośród nas, którzy są na południu Chorwacji po raz pierwszy, zwiedzić perełkę adriatyckiego wybrzeża - Dubrownik.

Dwa dni mijają błyskawicznie i w środę rano po pożegnaniu Adama na Viadrze, który z uwagi na konieczność wcześniejszego powrotu do Polski postanawia promem popłynąć do Ancony, kierujemy się do przejścia granicznego z Serbią i Czarnogorą. Mijamy kolejne miejscowości nad Zatoką Kotorską, a następnie przecinamy ją, korzystając z promu Jadrolinii kursującego pomiędzy Kamenari a Tivatem. Wzdłuż wybrzeża, czyli starą drogą kotorską, wracamy ok. 10 km do samego Kotoru, gdzie ja zostają przy motorkach, a reszta wycieczki idzie zwiedzać Stare Miasto. Fakt, że zostałem przy Africach, raczej mnie nie zmartwił - Kotor widziałem już kilka razy. Łukasz poszedł na starówkę pod opieką piękniejszej części załogi, a chodzenie w butach enduro nie należy do moich ulubionych form aktywności. Dwie kawy i jedna woda mineralna to w przybliżeniu

niemal cały czas, jaki był potrzebny na zaliczenie miasta. Kierujemy się w stronę nowej, biegnącej nieco dalej od samego wybrzeża drogi, stawiając sobie za cel Ulcinj. Mijamy Sv. Stefana, Petrovac, Bar i około godz. 16 zatrzymujemy się na znalezionym pociągającym kempingu. Warunki są zupełnie przyzwoite - bieżąca woda, łazienki z prysznicami i toalety typu skocznia, do których zaczynamy się powoli przyzwyczajać.

### Dziwny świat Albanii

Świadomość bliskości Albanii nie pozwala długo pospać i już około godz. 7 jesteśmy na nogach. Na granicy w Sukobin odprawa odbywa się bez problemów (nawet opłaty nas ominęły), ale zaraz za przejściem zaczyna się dziwny świat - kozy, świnię, krowy i osły wydają się nie znać przepisów i zawsze idą złą stroną drogi. Lecimy do twierdzy Skanderbega w Krujë. Droga jak dobre martini wstrząśnięte, niemieszanie - miejscami asfalt, ale są też odcinki nietknięte ręką drogowca od czasów wspomnianego Skanderbega. Podjazd do twierdzy iście karkołomny, a same ruiny, w tym głównie ich lokalizacja na półce skalnej, też robią wrażenie. Z Krujë kierujemy się

**Albania to kraj kontrastów. Obok zaparkowanych Porsche i nowiułkich merców śpiące w rynsztoku okaleczone dzieci, żebrzący starcy i grzebiące w śmieciach kobiety. Hotele od frontu opływają luksusem, ale tuż za węglem widać słamsy**

do Shkodry, gdzie zaczyna się już prawdziwa „jazda na maksa bez trzymanki”. Nikt nie przestrzega żadnych reguł, auta jadą pod prąd, na rondzie, którego środek to słup telegraficzny lub latarnia, nikt nie uznaje pierwszeństwa, a policjant, który wykonuje niezrozumiałe chyba dla nikogo ruchy lizakiem, tylko pogłębia ten drogowy chaos. Sposób, w jaki Albańczycy korzystają z ulic (to określenie nie pasuje do żwiru-błotnych, piaszczystych odcinków, ale jest jedynym, jakie przychodzi mi do głowy), stanowi swoiste połączenie atmosfery naszego Stadionu Dziesięciolecia z porządkiem panującym na skrzyżowaniach Kairu.

Wymiana waluty w banku przypomina sceny z filmu „Jak to się robi w Chicago”, a telewizja albańska, która wyrasta spod ziemi, robi z nami jakiś wywiad - widać jesteśmy atrakcją sezonu. O dziwo, cały ten bałagan wcale nie budzi w nas niepokoju, obawy odnośnie do bezpieczeństwa zdają się gdzieś oddalać. Chyba już wiem, co generuje takie poczucie pewności - po prostu Albańczycy. Oni wcale nie są nastawieni nieprzychylnie czy wrogo, owszem, są nachalni, ale wynika to raczej z ciekawości. Są krzykliwi i impulsywni, ale to po prostu



■ Albania to kraj dla wytrwałych turystów. Krajobrazy zapierają dech w piersiach, ludzie tu są mili i gościnni. Wielkoce osiołki i krowy na jezdni dla jednych będą egzotyką, dla innych utrapieniem. Górskie trasy będąc rajem dla enduraków, dla motocykli szosowych są morderczą próbą wytrzymałości



południowcy, a w dodatku w 80-90 proc. muzułmanie. Niemal wszędzie, gdzie się zatrzymujemy, wraz z grupką żebrzących dzieciaków pojawia się zawsze ktoś, kto usiłuje się dowiedzieć, jaki mamy problem i w czym nam można pomóc.

Barierą jest język. Albańczycy, jeżeli już jakiś znają, to jest to wyłącznie włoski, natomiast angielski czy niemiecki umożliwia komunikację wyłącznie w hotelach lub bankach. Ze Shkodry zupełnie przywoitą drogą jedziemy na Tiranę, a następnie niemal autostradą na Durres. Tiranę, która robi raczej niespecjalne wrażenie (śmieci, rozkopane ulice, kurz i komunikacyjny bałagan), mijamy przelotem. Jest już coraz później, a my musimy zacząć szukać miejsca na nocleg. Już niemal po zmroku trafiamy do bardzo przyzwoitego hotelu Virginia w Durres (Riwiera Albańska - e-mail: virginia@interalb.net), gdzie udaje nam się wynegocjować rewelacyjną cenę 24 euro za trzyosobowy pokój z widokiem na morze.

Rano wyjazd z hotelowej palni po schodach (dla bezpieczeństwa tam właśnie na nocleg schowaliśmy motocykle) i jechać w kierunku gór w północno-zachodniej Albanii. Znowu mijamy Tiranę i Shkodrę,

a następnie kierujemy się w stronę Golem, Ura e Shtrenje, Kiri, Lotaj i Boge. Na początkowym odcinku droga na mapie jest zaznaczona jako asfaltowa i to by się nawet zgadzało (mapa jest stara, więc i asfalt pewnie kiedyś był), dalej mapa wskazuje, że droga ma przechodzić w gruntowo-sztrowy odcinek. Niestety, pojęcie drogi w rozumieniu albańskich kartografów zupełnie różni się z naszą jej definicją. Owa droga to miejscami żwirowo-kamienista ścieżka szeroka na niewiele ponad metr, błotnista i podmokła autostrada, to znów półka skalna z wyplukanym łupkiem, który nie grzeszy przyczepnością, albo zwykłym skalno-kamiennym rumowiskiem, które osuwa się, gdy tylko mocniej odkręcisz. Dodatkową atrakcją przy tak urozmaiconym podłożu jest to, że nasze maszyny to nie TT 600R czy inne wyczynowe enduro, tylko dość potężne i ciężkie Africa Twin z bagażami i w większości przypadków pełnymi załogami.

W karkołomny więc sposób pokonujemy 64 km pełne ostrych, wykonywanych na pełnym gazie kilkunastostopniowych podjazdów i zjazdów ze zblokowanym tyłem w cztery i pół godziny. Wentylatory

## CO WARTO JESZCZE WIEDZIEĆ?

**Ceny paliwa:**

Bośnia i Hercegowina - około 0,85 euro  
Chorwacja, Serbia i Czarnogóra - około 1,05-1,15 euro  
Albania - 110-120 leków, czyli jakieś 0,90-1 euro

**Jedzenie:**

Bośnia i Hercegowina - „zestaw mięsny” na cztery osoby (kilka rodzajów mięsa na półmisku - bardzo smaczne, frytki i surówki) około 20-25 euro

Albania - podobnie tanio, ale rzadko dostaniecie wieprzowinę, cena spaghetti to 2-4 euro, obiad mięsny (ale kotlet był wołowy) to około 3-4 euro, śniadanie w hotelu w Durres - 2 euro od osoby (przyzwoite, bo jajka sadzone, bułeczki, serek i kawa z wodą mineralną)

Serbia i Czarnogóra - bardzo różnie, choć generalnie za dobry obiad zapłacić trzeba około 5-8 euro. W górach warto skosztować „pieczonej jagniętyny” (pieczone na grillu jagnię) - 1 kg w cenie od 10 euro

Chorwacja - ceny od 5 euro za pizzę do 20 euro za obiad  
Uwaga - cena napojów do obiadu potrafi podwoić końcowy rachunek. Mała butelka soku czy mineralnej potrafi kosztować nawet 2 euro!

■ Jeśli kogos nie przerażają w sumie spartańskie warunki bytowania, to jest to idealne miejsce dla turystów. Przywyczajeni do pięciogwiazdkowych luksusów powinni szukać szczęścia w innej części Europy



niemal się nie wyłączały, a zawieszona przeszły prawdziwe katusze. Gdyby kierować się zasadą, że dzień bez gleby jest dniem straconym, to na tym odcinku wyszła nam iście golemowska superata. Gleby zaliczyli niemal wszyscy (niektórzy w promocji załapali się na dwie-trzy repty). Straty były w ludziach i sprzęcie. Dwie AT były już bez szyb, jedna z popękanyimi plastikami, dwie z przytartymi gromami i szlifami na owiewkach, jedna z przesuniętą do tyłu centralną podstawką, jedna z mocno zdeformowaną płytą osłonową silnika i jedna z wgniecionym alukuferkiem, który uratował motorek od poważniejszych obrażeń. Co do strat w ludziach to, pomijając straty moralne tudzież zwerifikowaną w sposób brutalny dumę globtroterów, Jarek doznał mniej zabawnych, ale na całe szczęście niegroźnych obrażeń prawej ręki. Zdarł skórę i poszarpał przedramię na skalach, ale odniesione obrażenia nie uniemożliwiły mu dalszej jazdy. Ostatnia strata dotyczyła moich ukocharnych (bo jedynych) butów enduro, z których odpadła podeszwa. Zał i smutek był ogromny, a dalsza jazda w trampkach raczej mało zachęcająca. Z pomocą przy-



szedł „Łysy”, a właściwie jego supermocna taśma klejąca, która sprawowała się dzielnie aż do zakończenia wyjazdu.

Na nocleg zajechaliśmy do Vukpalaj Bajze, gdzie zaprosił nas ojciec Tomasz, polski misjonarz i zakonnik salwatorianin, poznany podczas tankowania w okolicach Tirany który wspólnie z dwoma wolontariuszkami pracuje na placówce misyjnej w Albanii. Po rozpakowaniu i zakwaterowaniu w byłym domu misyjnym ojciec Tomasz i dwie Agnieszki (wspomniane wolontariuszki) zaprosili nas w gościnę i na wieczorne Polaków rozmowy. Winogrona i zimne piwo Bawaria po całym dniu hardcoru smakowały wyśmienicie. Okazało się, że Padre Tom (tak księdza nazywają Albańczycy) też jest motonitą i właśnie z Polski jedzie do Albanii Yamaha TW 200, którą będzie mógł dojechać do najdalej wysuniętych w góry wiosek i oczekujących tam wiernych.

## Serbia i Czarnogóra

Rano żegnamy naszych gospodarzy i jedziemy w kierunku przejścia granicznego Hani i Hotit. Po godzinie jesteśmy w Serbii i Czarnogórze, gdzie wzdłuż Jeziora

Shkoderskiego kierujemy się w stronę Podgoricy i Niksić. Na kilka chwil zajechaliśmy do Monastiru Ostrog, a następnie przejeżdżamy najbardziej malowniczym odcinkiem całej trasy biegnącej kanyonem rzeki Pivy i Driny do Sarajewa. Widoki są niezapomniane, a doskonały asfalt i wykute w litej skale tunele wzbudzają zazdrość. Kolejne przejścia graniczne i godziny w deszczu, a w zasadzie w ulewę, która dopada nas w bośniackich górach, doprowadzają nas na znany już kemping koło Mohacza. Poranek wita nas deszczem, poranna toaleta i pierwszy raz od 10 dni rozdzielamy się. Część wraca do kraju, a reszta przedłuża sobie wyprawę o kilka dni na Słowację. Dla reszty wakacje dobiegają końca.

## Wrażen starczy na długo

Albania to niewątpliwie kraj największych kontrastów, jakie do tej pory było mi dane oglądać. Obok zaparkowanych w Durres Porsche i nowiutkich merców widziałem śpiące w rynsztoku okaleczone dzieci, żebrzących starców i grzebiące w stertach śmieci kobiety. Hotele od frontu opływają luksusem, ale tuż za węglem widać walące

**Szczególne podziękowania dla Padre Toma i wolontariuszek z Vukpalaj Bajze za gościnę i nocleg, a dla wszystkich uczestników wyjazdu za wytrzymałość, wyrozumiałość i cierpliwość**

się slumsy i ludzi o pustych oczach, w których na próżno szukać nadziei na lepsze jutro. Nieco mniej kontrastujące wrażenia pozostawia albańska prowincja, gdzie po prostu brak jest jakichkolwiek przejawów zamożności.

Albańskie góry wydają się wyrastać prosto z głębi ziemi, nie widać tu poprzedzających je zwykle pagórków takich jak mają choćby nasze Beskidy czy Podhale. Zagubione w górach wioski i pojedyncze domy, do których nie widać jakiegokolwiek drogi czy ścieżki, są dla bądź co bądź, Europejczyka szokującym widokiem, choć ich położenie z dala od cywilizacji w jakiś sposób tłumaczy największy w Europie analfabetyzm.

Pomimo że od powrotu mijają kolejne dni, nadal jestem pod wrażeniem tego egzotycznego zarówno kulturowo, geograficznie, jak i ekonomicznie kraju. Czy warto tam jechać? Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że tak! Kraj jest niezmiernie ciekawy, a ludzie życzliwi. Nigdzie nie spotkaliśmy jakichkolwiek przejawów wrogości czy niechęci. Tak już chyba jest, że im człowiek uboższy, tym bardziej szczerzy i otwarty na innych. ■